

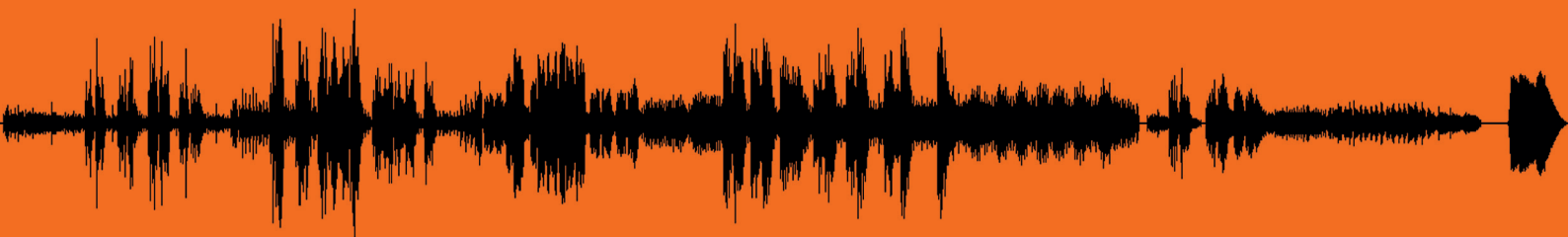
NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
MAGAZYN BEZPŁATNY
ISSN 2299-6273

#20

MiC

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

OFFowe reminiscencje / Nowy Jork znaczy jazz
Henryk Mikołaj Górecki i pieśni żałosne



HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI: III SYMFONIA
III. LENTO-CANTABILE-SEMPLICE

ŁĄCZYMY
KONCERTOWO



spis treści

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY #20

Narodowego Centrum Polskiej Piosenki



Wstępniak <i>str. 5</i>	
	Shorty Newsy, plotki, ploteczki <i>str. 6</i>
OFFowe reminiscencje <i>str. 8</i>	
	Henryk Mikołaj Górecki i pieśni żałobne <i>str. 11</i>
Galeria <i>str. 14</i>	
	Sampler <i>The Fairy Feller's Master-Stroke</i> [Mistrzowskie rach-ciach jak z bajki] <i>str. 16</i>
Nowy Jork znaczy jazz <i>str. 20</i>	
	Zaleca się <i>str. 23</i>

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej
stronie internetowej www.ncpp.opole.pl

SORRYBOYS

08.11.2019 SALA KAMERALNA NCPP



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

// Wstępniak

W poprzednim numerze w znacznie wydłużonym wstępniaku zachwalałem wydawnictwo noszące tytuł „III Symfonia (Symfonia pieśni żałosnych)” Henryka Góreckiego w wykonaniu Beth Gibbons i Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod dyrekcją Krzysztofa Pendereckiego. Za odwagę, za pomysł, za realizację. W numerze, który trzymacie właśnie w rękach, jest to temat okładki, o czym mówi więcej szkic Bartosza Suwińskiego. Polecam lekturę zarówno jego tekstu, jak i pozostałych, choć bowiem z pozoru każdy mówi o czymś innym, ich wspólnym mianownikiem jest dochodzenie do celu, dzięki ambitnym pomysłom i planom, ciężkiej pracy, ale także własnym możliwościom.

OFF Festival nie byłby tym, czym jest, gdyby nie wytrwałość organizatorów i sumienna, odważna realizacja, bo nie jest rzeczą łatwą stworzyć tak silną markę i popularny festiwal, zapraszając ambitnych i – powiedzieliby niektórzy – bardzo niszowych oraz trudnych w odbiorze artystów. Tymczasem miłośnicy muzyki więksi i mniejsi ani chwili się nie zastanawiają i wraz z uruchomieniem sprzedaży karnetów pada hasło „dawaj, jedziemy na OFFa”. Z kolei wywiad z Tobiaszem Siankiewiczem to przykład na to, że – jakkolwiek by to banalnie brzmiało – niemal wszystko jest możliwe. Ot, prostota: wystarczy odpowiednio zmiksować marzenia z wytrwałością i od razu się okazuje, że chłopak ze Zdzeszowic, który przez lata „nosił futerał po Pasiece w Opolu”, może nagrać płytę w mekce muzyki, tj. Nowym Jorku, tam żyć i mieszkać. Wreszcie Sampler opowiadający o pracy nad genialnym dziełem, szaleństwie i inspiracji oraz o tym, do czego może to ostatecznie doprowadzić. Z tekstu *Mistrzowskie rach-ciach jak z bajki* możemy się dowiedzieć, jak XIX-wieczny brytyjski malarz Richard Dadd wpłynął na powstanie jednej z najlepszych płyt grupy Queen. Znajdą też Państwo trochę shortów, pisanych jak zawsze z przymrużeniem oka, oraz recenzji płyt, których warto posłuchać. W galerii natomiast Opole Songwriters Festival, czyli fenomenalny koncert Courtney Barnett, która dała swój pierwszy występ w Polsce 6 września w Sali Kameralnej Narodowego Centrum Polskiej Piosenki właśnie, a który dla piszącego te słowa na długo pozostanie ogromną inspiracją i potwierdzeniem kwestii, o których wspomniałem nieco więcej na początku tekstu.

Czego i Państwu życzę.

Marek Szubryt



Gangsterskie kucyki

Firma Hasbro, właściciel takich marek jak Monopoly czy My Little Pony, nabyła „drogą kupną” firmę Entertainment Ona. I nie byłoby w tej informacji nic szczególnie ekscytującego, gdyby nie fakt, że w pakiecie ze Świnką Pepą oraz Pidżamersami znajdowała się legendarna wytwórnia Death Row (wydawca m.in. 2Paca czy Snoop Doga). A że zarabiać trzeba, to my wiemy, ale aż strach pomyśleć, co może się urodzić z tego połączenia.

Rafał Czarnecki



Powrót odłożony w czasie?

Wydaje się, że powrót Oasis za grube miliony euro kiedyś się dokona. Mimo że zespół nie istnieje od dobrych kilku lat, zainteresowanie zespołem braci Gallagherów nie maleje. A to Lewis Capaldi na koncercie na Glastonbury w humorystyczny sposób odniósł się do słów Noela Gallaghery, a to Twenty One Pilots wraz z raperem Post Maloneem wykonali na koncercie na festiwalu w Reading ich nieśmiertelny hit *Don't look back in anger*, czym oczywiście natychmiast zwrócili uwagę muzycznych mediów. Na tym samym festiwalu już w całkiem bezpośredni sposób do reaktywacji Oasis zachęcali członkowie Foo Fighters, dodając, że na drodze stoi tylko jeden mały problem. Pieniądze, których braciom póki co nie brakuje.

Rafał Czarnecki



Złe dziewczyny wiecznie młode?

Z końcem września do kin trafia kolejny film Xawerego Żuławskiego – *Mowa ptaków*, który zrealizował na podstawie scenariusza swojego nieżyjącego już ojca, Andrzeja Żuławskiego. Recenzje póki co zbiera skrajne, więc uznać należy, że wszystko przebiega „po Żuławskiemu”. Premierę filmu promuje piosenka *Dziewczyna zła*, której los jest dość zawyły. Z końcem lat sześćdziesiątych Andrzej Żuławski wraz z wybitnym kompozytorem i twórcą muzyki filmowej Andrzejem Korzyńskim wpadli na genialny pomysł. Napiszemy „hita”! Bigbit święcił tryumfy, więc panowie postanowili spotkać się z jego ojcem chrzestnym, czyli Franciszkiem Walickim. Twórcy Czerwono-Czarnych muzyka niezwykle przypadła do gustu, ale tekst Żuławskiego już niekoniecznie. Korzyński solidarnie nie zgodził się na wykorzystanie samej muzyki i tym samym pieśń przeleżała w archiwach 50 lat. Na potrzeby filmu numer odświeżono i przearanżowano. Może tym razem się uda?

Michał Mościcki

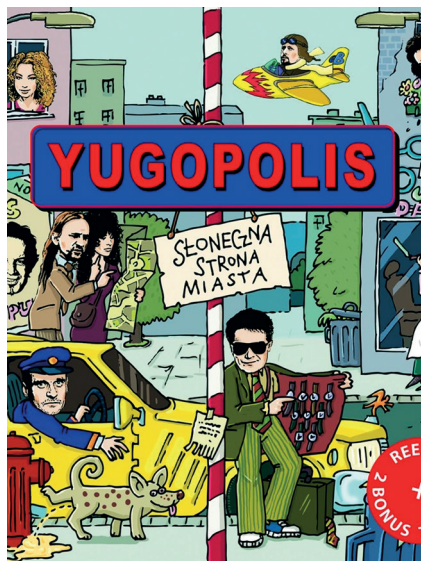
// **Shorty** Newsy, plotki, ploteczki



Ozzy Osbourne podsumował

Jeśli kiedykolwiek zastanawialiście się nad karierą Osbourne'a po odejściu z Black Sabbath i pomyśleliście, że jednak sporo chłop osiągnął, wszak dziesiątki płyt, poczwórne i potrójne platyny nie biorą się z niczego, a pałacyki i wszelkie materialne dobra to raczej nie z „zaiksów” od *Paranoid*, to śpieszymy donieść, to było jedynie preludium. Otóż to wszystko, co się wydarzyło po rozstaniu z ekipą z Birmingham, to nic w obliczu ostatnich dokonań Ozzy'ego, który stwierdził, że najlepsze, czego dokonał, to utwór *Take What You Want*. Tak, Post Malone, zgadza się, żadnej pomyłki. Utwór z raperem, który zaprosił do udziału również Trvisa Scotta. Też rapera. Albo Ozzy po raz kolejny odpłynął, albo panowie „umią w marketing”. W grę wchodzi prawdopodobnie obie opcje.

Michał Mościcki



Peezel i Yougopolis zusammen

Po wydaniu „fenomenalnego” albumu Paweł Kukiz podbił stawkę. Niegdyś wokalista, twórca piosenek ważnych dla polskiej popkultury, z czasem polityk walczący z systemem od środka. Teraz ów walenrodyzm Kukiza przybrał kolejną formę, wstąpił bowiem w szeregi partii ludowej, jak by to wymówił Leszek Miller – peezele. Nie mam zamiaru jednak ani oceniać, ani pastwić się nad wyborami politycznymi Kukiza, w końcu jasno komunikuje, dlaczego kilka lat temu postanowił zostać politykiem. Chciałbym tylko wspomnieć o niedawnej konwencji partii, na której kiedyś artystę, a teraz polityka ciągnie jak wilka do lasu i wykonuje przed salą pełną działaczy piosenkę „Miasto budzi się” z repertuaru projektu YugoPolis. Ale uwaga, co się raz zobaczy...

Marek Szubryt



Aleście mnie, Wenecjo, zaimponowały

Po zobaczeniu traileru nowego filmu o Jokerze, w którym w tytułową rolę wcielił się Joaquin Phoenix, kolega celnie napisał, że ma nadzieję, że scenariusz filmu udźwignie kreację Amerykanina. I dostępne dotąd recenzje są różne, więcej jest zachwytów, choć nie brakuje chłodnych czy powściągliwych opinii, co nie jest jakoś specjalnie zaskakujące. Zważywszy na temat: czyli ekranizację postaci komiksowej, arcyamerykańskiego formatu, którego dobre wersje filmowe, jeśli mówimy o kinie przez duże K, nie należą do częstych. Aż tu nagle główną nagrodę na Festiwalu w Wenecji, najstarszym festiwalu na świecie, posiadającym swój dorobek i charakter, zgarnia film, którego wysłanie do konkursu, na początku obśmiane, okazuje się genialnym ruchem. Pozostaje mieć nadzieję, że nie inaczej będzie z samym obrazem.

Marek Szubryt

//OFFowe reminiscencje

Cieszyłem się jak dziecko, kiedy polski rynek festiwalowy zaczął się w niebywałym tempie rozwijać. Wyrastały coraz to nowe festiwale, które profilowały się pod konkretnego odbiorcę, a zagraniczni wykonawcy w line-upie stawali się obowiązkiem, a nie tylko wyjątkiem od reguły. Bo pamiętam jeszcze czas, gdy nasze rodzime festiwale powielały jedynie artystów, którzy stale zasilali programy koncertów juvenaliowych. Dlatego z wielkim entuzjazmem przyjąłem informację, że wystartuje coś takiego jak OFF Festival.

Po pierwsze dlatego, że regionowi należał się jakiś festiwal z prawdziwego zdarzenia, który wykorzystałby potencjał ludzki w nim drzemiący oraz pokazałby go z innej strony aniżeli tylko i wyłącznie przez pryzmat kopalń, hut i hałd. Po drugie, bardzo odpowiadał mi charakter imprezy, która jak na tamte czasy wydawała się odważna repertuarowo, ale też zdawała się mieć szansę, gdyż zapełniała jeszcze niezagospodarowaną niszę. A po trzecie – wydawało mi się, że osoba Artura Rojka jako dyrektora artystycznego i twarzy całego przedsięwzięcia przyczyni się w znaczący sposób do promocji wydarzenia oraz zagwarantuje ciągłość pomysłu.

Zaliczyłem wszystkie edycje, które odbywały się w Mysłowicach, następnie kilka w Katowicach. Potem nastąpiła mała przerwa, gdyż zwykła codzienność nie pozwoliła na uczestnictwo lub po prostu zestaw wykonawców nie skłaniał do wybrania się do Katowic. W tym roku oba wymienione wcześniej czynniki szczęśliwie nie wystąpiły i moja stopa znów stanęła na offowej ziemi. Festiwale teraz to już nie tylko muzyka na terenie imprezy, ale działania w wielu innych miejscach. I nie inaczej podchodzi do tego zagadnienia OFF Festival, by wymienić tylko Piaskoffnice, gdzie



SUEDE, fot. OFF Festival



Fot. OFF Festival

można było wybrać się ze swymi małoletnimi pociechami (a rodzin kręcących się po terenie festiwalu było naprawdę sporo), czy Kawiarnię Literacką z ciekawymi gośćmi i panelami dyskusyjnymi. Moją szczególną uwagę zwrócił znajdujący się w strefie gastro... fryzjer, który cieszył się tak dużą popularnością, że aby skorzystać z jego usług, należało się zapisać na konkretną godzinę. Muszę przyznać, że na początku skłonny byłem obśmiać świadczenie takiego rodzaju usług na festiwalu muzycznym, ale po tym, jak się dowiedziałem, że pieniądze za usługę idą na hospicjum dla dzieci, uznałem, że idea jest jak najbardziej w porządku. Jakaś łyżka dziegciu? Olbrzymi kolejkowy zator podczas wpuszczania uczestników w pierwszy dzień festiwalu. Rozumiem, że było to związane z kumulacją ludzi akurat w tym newralgicznym momencie, ale wydaje mi się, że na te 4-5 godzin można było zaplanować więcej ludzi do „opaskowywania” gości festiwalu.

Przejdźmy jednak do muzyki, gdyż to ona jest przecież najważniejsza i koniec końców decyduje o sile imprezy. Oczywiście nie widziałem wszystkiego, bo wszystkiego zwyczajnie zobaczyć się nie da, festiwale to zawsze trudna

sztuka wyboru, co więcej, pozwałam sobie na oddalenie się z miejsca koncertu, gdy ten nie przypadł mi do gustu. Kiedyś uważałem, że należy wysłuchać sztuki do końca, by mieć prawo do dzielenia się swoją opinią. Dziś już tak nie jest. I jakkolwiek może bufoniasto to zabrzmieć, zwyczajnie szkoda mi czasu. Ale akurat koncert The Comet is Coming wysłuchałem od deski do deski. Ten futurystyczno-transowy jazz robi naprawdę niesamowite wrażenie na żywo. Jak dla mnie był to król piątku. Bardzo miłym zaskoczeniem okazał się również Pablopavo i Ludziki z naprawdę dużym zespołem. Powiększony skład, jak to się mówi żargonowo, naprawdę robi robotę, nadając tekstom Pawła Sołtysa nowy wymiar. Jestem przekonany, że to nie był jednorozowy wyskok i będziemy mieli jeszcze okazję zobaczyć grupę w takiej odsłonie. Bardzo rzetelny w swej formule koncert dał Durand Jones & The Indications. Dlaczego tylko rzetelny? W głowie wciąż kołaczą mi się porównania z nieodżałowanym śp. Charlesem Bradleyem, którego również miałem okazję widzieć na żywo (i który zrobił na mnie zdecydowanie większe wrażenie). Tak chwalone Black Midi zdecydowanie nie dla mnie. Za dużo tam matematyki, od której stroniłem w szkole i podobne przekonanie przeniósłem na sferę



FOALS, fot. OFF Festival

A na koniec festiwalowego dnia na scenę wyszli (choć ich instrumenty stały już tam cały dzień) Foals. Przyznam szczerze, że nie należę do jakiegoś zagorzałego fanklubu Brytyjczyków, znam i doceniam, tylko tyle i aż tyle. Ale koncert zagraли naprawdę fenomenalny! Od dbałości o dźwięk, przez świetnie współgrające z nim światła, poprzez całą dynamikę i energię koncertu. Wierzcie mi, opinia (którą zasłyszałem także wcześniej), że grają świetne koncerty, nie jest w żadnym wypadku ani trochę przesadzona.

Niedziela to porcja bardzo pozytywnego, słonecznego i dobrego songwritingu spod znaku pochodzącego z Tajlandi Phuma Viphurita. Pyszny rapowy koncert dał też Loyle Carner (o nim samym więcej piszę w sekcji „Zaleca się”) i naprawdę kapitalny koncert zaserwowała Nanach Chery, która była dla mnie chyba największym pozytywnym zaskoczeniem festiwalu. Artystka podąży własną drogą, a przy okazji potrafiła oczarować zarówno swoją najnowszą twórczością, jak i pięknie przearanżowanymi starszymi, największymi hitami. Na koniec z kolei zagrał wyczekiwany Suede, zespół, który – muszę przyznać – lubię i cenię. Ale manieryczność zachowania Breta Andersona przerosła moje wyobrażenie. I w stu procentach zgadzam się z Piotrem Stelmachem, który pisał na swoim Facebooku, że „charyzmy i energii nikt nie nauczy się z książek, jednak w pewnym momencie mój łeb zaczęła drążyć notoryczna refleksja pomieszana z desperackim błaganiem: weźże, człowieku, chociaż jeden numer po prostu zaśpiewaj, bez tej całej pantomimy. No, niestety...”. Nic dodać, nic ująć. To był jeden z tych koncertów, z którego pozwoliłem sobie pójść przed końcem. Zahaczyłem jeszcze o bardzo porządne techno w wykonaniu palestyńskiej DJ ukrywającej się pod pseudonimem Sama i oddaliłem się do wyjścia.

Składając wszystkie wspomnienia i wrażenia w jedno, trzeba przyznać, że edycja 2019 należy do bardzo udanych. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że tym razem nie wystąpi żadna dłuższa przerwa i już za rok na początku sierpnia będę mógł znów odwiedzić Katowice. Co i Wam polecam.

Rafał Czarnecki

muzyczną. Spory zgrzyz mam z występem gwiazdy pierwszego dnia OFF Festivalu, czyli solowym wcieleniem wokalisty Pulp, Jarvisem Cockerem. Rzecz w dźwięku: wszystko to na moje ucho było mało selektywne, więc i przyjemność z obcowania z muzyką zdecydowanie mniejsza. Tym bardziej że w repertuarze, który zagrał, widzę duży piosenkowy materiał. W sobotę z kolei EABS pokazał się, tradycyjnie już, od najlepszej strony. Jakuzi i Soccer Mommy w swojej kategorii wagowej wypadli naprawdę fajnie, a Superorganism trochę zdudził mnie powtarzalnością kompozycji. A już fenomenu (podczas swych dwóch występów zgromadzili naprawdę potężną widownię) Bamba Pana & Makaveli, przyznam szczerze, nie ogarniam. Rozumiem modę na tego rodzaju muzykę (wywodzące się z Afryki singeli), rozumiem, że można trochę przy tym poruszać biodrami i tyle. No, ale może ja już stary diad jestem i pewnie się nie znam...



// Henryk Mikołaj Górecki i pieśni żałosne

1.

Jest rok 1976, autor *Ad matrem* dostaje zamówienie od stacji Südwestfunk Baden-Baden na dłuższy utwór. Od jakiegoś czasu czuje, że w jego twórczości nadrzędne znaczenie ma tekst, słowo, które ubożeje w epoce – jak sam mówił – „uświęconego chamstwa”. Górecki potrzebuje tekstów, które zbudują aurę dla muzyki. Przypomnijmy, że kompozytor na studiach zaczytywał się Stanisławem Młodożeńcem, posłał swoje wiersze do oceny Annie Kamieńskiej, do „Nowego Nurtu”, nie rozstawał się z Psalmami, zawsze miał na podorędziu Biblię, wyjątkowo cenił Słowackiego i Norwida. I w tekstach przepadał, jak w *Kąże mi się podziół mój synocek miły?*, za tematem, z którym zaznajomił go Adolf Dygacz po powrocie kompozytora ze stypendium w Berlinie. Opolska melodia nie chciała dać

się zbyć, a lament matki rozpaczającej po stracie syna nie dawał o sobie zapomnieć. Potem Górecki przypadkowo trafia na książkę, którą dokupił do swojej biblioteki sześć lat wcześniej: *Palace. Katownia Podhala* Alfonsa Filara i Michała Leyki, w której znajduje słowa wyryte na ścianie celi numer trzy przez osiemnastoletnią Helenę Wandę Błażusiakównę, skatowaną na śmierć przez gestapo: „O, Mamo, nie płacz, nie...”. I następnie wpada mu w ręce dwutomowy zbiór poezji religijnej pod tytułem *Z głębokości*, gdzie dłużej zatrzymuje go czwarty werset *Lamentu świętokrzyskiego z Pieśni łysogórskich*. Każda z trzech części powstającej symfonii zaczęła się w cudzych żalach. W ostatnich dwóch miesiącach 1976 roku dzieło jest skończone, a *II Symfonia Kopernikowska* (którą ostatnio zachwycał się Michael Gira ze Swans), ma następczynię.

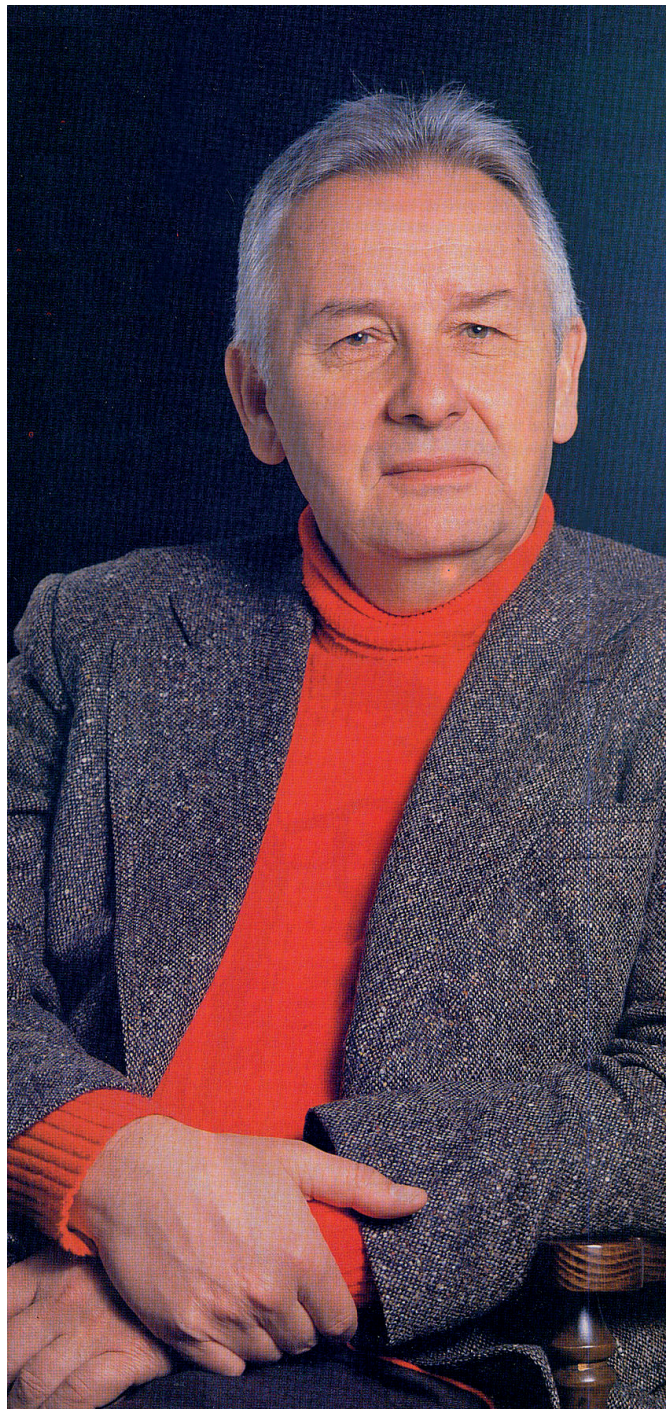
2.

Dzieło zadedykowane żonie Jadwidze ma swoje prawykonywanie w lutym 1977 roku, na XIV Międzynarodowym Festiwalu Sztuki Współczesnej w Royan. Orkiestrą dyryguje Ernst Bour, partie sopranowe śpiewa Stefania Woytowicz. W Polsce utwór prezentuje środowisku muzycznemu kompozytor w Baranowie Sandomierskim, a pierwsze polskie wykonanie ma miejsce tegoż samego roku na XXI Warszawskiej Jesieni. Zostawmy tu zachwyty i krytykę. Słuchajmy muzyki. Wolne tempo, repetycje i pogłębianie tematu. Muzyka surowa, oparta na powtarzaniu motywów. Penderecki: „Czasem zastanawiałem się, jak on to robi, że powtarza dany motyw właśnie tyle razy, ile powinien. Ani za dużo, ani za mało...”. *III Symfonia* to muzyka niezwykle ascetyczna, skromna, uboga. Zjednująca prostotą, mająca w sobie jakiś archaiczny prymitywizm, wyrażająca tęsknotę za pełną od obecności kontemplacją. Muzyka długiego rozbiegu. Medytacyjna, rytualna, transowa. Jest jak człowiek, który po długiej wewnętrznej wrzawie, targany emocjami, nagle zapada się w siebie, słucha ciszy, oddechu, redukuje wszystko do bicia serca. Powoli, ciężko. A potem podnosi się z ziemi, ograniczając się tylko do niezbędnego minimum. Nie wyrzekając się tego, co pierwotne. Wychodząc od ciszy, kończąc z hukiem w uszach. „Przebijający się przez gęstą fakturę smyczków dźwięk fortepianu każe myśleć o biciu żałobnego dzwonu” (Władysław Stróżewski).

3.

O kolejnych, zadziwiających życiach, zagranicznych podbojach i sukcesach *III Symfonii* można pisać i pisać. Ograniczymy się do tego, że w 1987 roku w przerwie swojego koncertu na Wembley obszerne jej fragmenty zaprezentował publiczności David Bowie i wtedy usłyszał je John Sherba z kalifornijskiego kwartetu Kronos Quartet, słynącego z jednej z najciekawszych interpretacji dzieła. I do tego, jak żona Petera Weira usłyszała ją w San Francisco w sklepie z antykami, kiedy małżonek kończył pracę nad filmem *Bez lęku*, i postanowiła kupić mu płytę. I o milionie sprzedanych płyt z nagraniem *III Symfonii* z 1992 roku w wykonaniu London Sinfonietta, z sopranistką Dawn Upshaw i przewodzącym muzykom Davidem Zinmanem.

Henryk Mikołaj Górecki, fot. Lech Kowalski & Włodzimirz Pniewski, skan z pisma „Studio” Nov/Dec 1993 str. 8, PD



W 2019 roku dostajemy *III Symfonię* w interpretacji Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia pod batutą Krzysztofa Pendereckiego, z Beth Gibbons (kontralt), wokalistką Portishead, w partiach wokalnych, pisanych na sopran. Choć słyszę utyskiwania zawiedzionych, bronię tego wydawnictwa, a w zasadzie koncertu z 2014 roku, z Teatru Wielkiego – Opery Narodowej. Niebywała empatia Gibbons, rozedrgana emocjonalna ekspresja, jej „okrągły” polski (nauczony fonetycznie, z transkrypcji), nieco temperują chropowatą fakturę i surowe kanty, oryginału. Symfonia pisana od 30 października do 30 grudnia 1976 roku, zyskała kolejne życie, niesie się dalej.

4.

Henryk Mikołaj Górecki przyszedł na świat w środę 6 grudnia 1933 roku w Czernicy. Matka chłopca zmarła w dniu jego drugich urodzin, mając zaledwie dwadzieścia sześć lat. Jako czterolatek poślizgnie się na glinie i wyłamie sobie z panewki lewą kość biodrową. Od 1937 roku zacznie się jego szpitalna odyseja. Dwadzieścia miesięcy tułaczki i kolejne próby ratowania biodra. Do końca życia będzie na jedną nogę utykał, tę o dziesięć centymetrów krótszą. Bardzo gwałtowny, nieukładny, nieposkromiony. Choleryk i pedant, piewca symetrii. Etos pracy wyniesiony ze śląskiej rodziny, dwa lata terminowania nauczycielskiego w Radoszowach. W dwadzieścia pięć lat przebył drogę od chłopaka, którego nie chciano przyjąć do żadnej szkoły muzycznej, do rektora katowickiej Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej. Całe dorosłe życie spędził na Podhalu. Chodził po lasach i wsiach, fotografował pola i łąki. Mówił, że muzyka potrzebna jest do życia jak oddychanie i jedzenie. I dodawał: „Lubię masę i zgrzyt”. „Nim umrę, chciałbym się dowiedzieć, co to jest muzyka”.

Podczas pisania szkicu korzystałem z książek:
Maria Wilczek-Krupa, *Górecki. Geniusz i upiór*, Kraków 2018
Adrian Thomas, *Górecki*, przeł. E. Gabryś, Kraków 1998

Bartosz Suwiński

DARIA
ZAWIAŁOW
Helsinki Tour
VOL 2

30.11.2019
SALA KAMERALNA NCPP

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki





Courtney Barnett

Opole Songwriters Festival 2019

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki / fot. Patrycja Wanot

// *Sampler*

Queen

The Fairy Feller's Master-Stroke

[Mistrzowskie rach-ciach jak z bajki]

Choć wydany w marcu 1974 r. drugi album zespołu Queen, zatytułowany po prostu *Queen II*, nie odniósł oszałamiającego sukcesu komercyjnego – ten miał przyjść już za kilka miesięcy – to doczekał się statusu płyty kultowej, zaginionej perły rocka lat siedemdziesiątych. Odpowiada za to przede wszystkim druga strona albumu, zwana czarną, w całości skomponowana przez Freddiego Mercury'ego, z takimi – połączonymi ze sobą w większą całość – utworami jak prawie thrashmetalowe *Ogre Battle* czy monumentalne *March of the Black Queen*. W zestawie tym znajduje się też szalone *The Fairy Feller's Master-Stroke*, zainspirowane dziełem wiktoriańskiego malarza Richarda Dadda.



Richard Dadd „Fairy Feller's Master-Stroke“



Mistrzowskie rach-ciach jak z bajki

oto Drwal w bladym świetle księżycy
patrzcie stoi pochylony nad swoją siekierą
cała zgraja zgromadzona wokół
w napięciu czeka co zrobi
on bierze wdech, ze świstem wypluwa powietrze
i już w ruch idzie lśniące ostrze z metalu
baśniową parabolą opada w dół

są tu wszyscy odszczepieńcy:
oracz i mały Will
polityk z senatorską trąbką
i surowy pedagog w todze
jest satyr zaglądający pod spódnice dam
(z niego to dopiero łobuz)
są też obdartus i hulaka
złodziej i uliczny grajek
zniewieściaty dandys ze swoją przyjaciółeczką
i nimfa w żółtej halce –
chcą na własne oczy zobaczyć
mistrzowski zamach baśniowego Drwala

ceremonię prowadzi pierwszy magik
są też żołnierz, marynarz, psotnik, krawiec
Oberon i Tytania stoją w towarzystwie wiedźmy
a Królowa Mab przyszła z poczciwym aptekarzem
teraz wszyscy zamarli w bezruchu
każdy z nich nadstawia uszu
czekają i wołają w podeksycytowaniu:
„zrób to Drwalu
ropkęnij świat na pół”

The Fairy Feller's Master-Stroke

He's a fairy feller
The fairy folk have gathered round the new moon shine
To see the feller crack a nut at night's noon time
To swing his axe he swears, as it climbs he dares
To deliver...
The Master-Stroke

Ploughman, "Waggoner Will", and types
Politician with senatorial pipe – he's a dilly-dally-o
Pedagogue squinting, wears a frown
And a satyr peers under lady's gown, dirty fellow
What a dirty laddio
Tatterdemalion and a junketer
There's a thief and a dragonfly trumpeter – he's my hero
Fairy dandy tickling the fancy of his lady friend
The nymph in yellow "can we see the Master-Stroke"
What a quare fellow

Soldier, sailor, tinker, tailor, ploughboy
Waiting to hear the sound
And the arch-magician presides
He is the leader
Oberon and titania watched by a harridan
Mab is the queen and there's a good apothecary-man
Come to say hello
Fairy dandy tickling the fancy of his lady friend
The nymph in yellow
What a quare fellow
The ostler stares with hands on his knees
Come on Mr. Feller, crack it open if you please

Richard Dadd urodził się w 1817 r. i od wczesnego dzieciństwa wykazywał wybitny talent malarski, potwierdzony przyjęciem do renomowanej londyńskiej Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych już w wieku 20 lat. W latach 1842–1843 Dadd odbywa podróż przez Europę do Turcji, na Bliski Wschód i do Egiptu, która ma go otworzyć na nowe inspiracje i poszerzyć horyzonty artystyczne. W drodze powrotnej zaczyna zachowywać się dziwnie: słyszy dźwięki, które odszyfrowuje jako głos egipskiego boga Ozyrysa, i odnosi się z agresją do współtowarzyszy podróży. Mania prześladowcza i choroba, która z perspektywy dzisiejszego stanu wiedzy wydaje się książkowym przykładem

schizofrenii i dwubiegunowej depresji maniakalnej, pogłębia się w Anglii. 29 sierpnia 1843 r. Dadd zwabia swojego ojca Roberta do lokalnego parku i tam morduje go, kilkakrotnie dźgając nożem. Później tłumaczy, że tak naprawdę nie był to jego ojciec, tylko diabeł. Udaje mu się zbiec do Francji, gdzie zostaje pojmany przy próbie kolejnego zabójstwa, kiedy podróżując pociągiem rzuca się z brzytwą na współpasażera. Po ekstradycji do Anglii, gdzie przyznaje się do popełnienia morderstwa (choć już niekoniecznie do winy), zostaje osadzony w zamkniętych szpitalach psychiatrycznych: najpierw w Bethlem, a potem w Broadmoor, gdzie umiera zapomniany w 1886 r.

Wcześniej w obu instytucjach kontynuuje swoją przygodę z malarstwem, tworząc swoje najlepsze dzieła o tematyce baśniowej. W okresie spędzonym w Bethlem w latach 1855–1864 powstaje jego arcydzieło *Mistrzowskie cięcie baśniowego drwała*. Przy stosunkowo niewielkiej powierzchni płótna (54x39,5 cm) obraz zadziwia ilością detali; urzeka bajkową, ale też schizofreniczną atmosferą; zachwyca wieloma mniej lub bardziej oczywistymi nawiązaniami do dzieł dramatycznych Williama Shakespeare’a; olśniewa barwami, które wytwarzają dziwną perspektywę; zaskakuje niedokończonością głównie widoczną w lewym, dolnym rogu (przeprowadzka do Broadmoor zmusiła Dadda do zarzucenia pracy, co sam skwitował, opisując pogardliwie dzieło jako quasi-obraz); jak żadna inna praca Dadda oddaje stan jego choroby umysłowej.

Zainteresowanie obrazem pojawia się wśród miłośników sztuki, kiedy w 1963 r. trafia on do londyńskiej Tate Gallery, gdzie na początku lat siedemdziesiątych XX w. Freddie Mercury przeżywa swoistą obsesję na jego punkcie, szczególnie w okresie poprzedzającym pracę nad płytą *Queen II*. Artystyczny kierunek tej płyty wywodzi się bezpośrednio z inspiracji obrazem: Mercury chciał, żeby nowa muzyka zespołu była – tak jak obraz Dadda – szalona, gęsta, schizofreniczna, klaustrofobiczna i baśniowa; a wszystko to jednocześnie. Doskonałym wypełnieniem tych założeń jest utwór o takim samym tytule jak arcydzieło Dadda, który dodatkowo można odczytać jako słowno-muzyczną ilustrację obrazu.

Sławomir Kuźnicki



Richard Dadd podczas pracy nad obrazem „Contradiction: Oberon and Titania”

//Nowy Jork znaczy jazz

Nie ma co ukrywać, że z Tobiaszem Siankiewiczem znamy się od dziecka. Kiedy przy pierwszych, nastoletnich i naiwnych rozmowach snuliśmy wizję swej przyszłości, żaden z nas nie mógł przypuszczać, że „wczorajsze marzenia to dzisiejsze plany”, a śmiałe zapowiedzi Tobiasza o karierze jazzowego muzyka w Nowym Jorku zrealizują się z taką mocą. Niedawno ukazała się jego płyta „Time to Begin”, a to oznacza, że dopiero się rozkręca. Podczas jego wizyty w Polsce mieliśmy okazję pogadać. Część tej inspirującej rozmowy znajdziecie poniżej.

Michał Mościcki: Spotkaliśmy się w sercu Opola, w pięknych i spokojnych „okolicznościach przyrody”. Co czujesz, kiedy myślisz o tym miejscu? Jest dla Ciebie ważne?

Tobiasz Siankiewicz: Zdecydowanie, bo w zasadzie w Opolu wszystko się zaczęło. To przede wszystkim wspomnienia czasu, w którym przymierzałem się do dorosłości, wyjechałem z rodzinnego domu w Zdzeszowicach i zacząłem powoli poznawać, czym tak naprawdę jest muzyka. Pomógł mi w tym mój nauczyciel, Jacek Hornik, który pokazał mi, czym jest jazz, ale przede wszystkim czym jest funkcjonowanie w zespole jazzowym. Poznaliśmy wtedy wszyscy pojęcie „improwizacji”, o której, jak się okazało, nie mieliśmy bladego pojęcia...

No tak, ale szkoła muzyczna to jednak nie szkoła stricte jazzowa...

To prawda. Szkoła była skupiona głównie na muzyce klasycznej, a jazz był w niej jedynie przyjemnym dodatkiem. Ale szybko się okazało, że dla saksofonistów nie ma zbyt wiele pracy, jeśli chodzi o muzykę klasyczną. Zatem potraktowałem te klasyczne tematy jako dobrą szkołę techniki i starałem się zrozumieć podejście do tworzenia muzyki na



przestrzeni dziejów. Teraz to doceniam. Choć znam wybitnych muzyków, którzy nigdy nie grali klasyki.

Zatem w jaki sposób przebyłeś drogę od nastolatka biegającego z futerałem po opolskiej Pasiece do jazzowego twórcy, który w Nowym Jorku wydaje swoją debiutancką płytę?

Trochę czasu mi to zajęło. Po szkole wyjechałem, wraz z falą polskich emigrantów, do Irlandii. To był czas, gdy wielu młodych ludzi szukało szczęścia poza Polską. Na wyspach pracowałem i oczywiście szukałem wszelkich sposobów, żeby jak najwięcej grać. To właśnie tam przyszło mi działać w zespole z kolegą, który skończył szkołę jazzową w Nowym Jorku, i to on mnie zachęcał, aby wykonać taki sam ruch. Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić, wiadomo. Starczyło mi jednak determinacji i po kilku latach z dwiema walizkami i niewielkimi oszczędnościami stanąłem na nowojorskiej ziemi.

A Nowy Jork przywitał Cię z otwartymi ramionami czy raczej nie przypominało to sielanki?

Było mi dane odwiedzić miasto turystycznie nieco wcześniej i przypadłem... wiedziałem, że to moje miejsce na ziemi i w zasadzie nie wyobrażałem sobie jakichkolwiek przeciwności, które mogłyby zaburzyć ten obraz. Nastawienie miałem bardzo pozytywne, a Nowy Jork mi odpłacił.

A co Cię urzekło najbardziej? Zakładam, że nie zabytki.

To miasto po prostu żyje muzyką, na każdym rogu spotykałem kogoś, kto albo grał na czymś, albo rapował, tańczył. Po wagonach metra regularnie przechadzają się wszelkiej maści śpiewający ludzie, którzy robią to doskonale. Poza tym nowojorczyści są świadomi, że są stolicą jazzu. Wychodzę z domu i mijam panią, która odkurzając swój kilkunastoletni samochód, słucha Duke'a Ellingtona, na początku ciężko było mi to ogarnąć. Zatrzymał mnie kiedyś na ulicy mężczyzna, który zauważył mój saksofon i z autentycznym ogniem w oczach zagaił: „O! Grasz na saksofonie? Świetnie! Pamiętaj: nigdy nie przestawaj grać!”.

Nie ukrywam, że wzruszają mnie takie historie. Pokazują też trochę klimat, jakim to miasto oddycha.

W tym „twój” Harlem.

Tak, mieszkam od czterech lat w zachodnim Harlemie, miejscu kolorowym w sensie etnicznym, ale i kulturowym. Pełnym sztuki, klubów muzycznych, dobrej energii. Żyję również w otoczeniu wybitnych muzyków. Kevina Haysa, wybitnego pianistę, spotykam w warzywniaku, a z innym, Gerardem Claytonem (który nagrywał m.in. z Dianą Krall) zdarza mi się siedzieć przy jednym barze. Poza tym kilka ulic ode mnie mieszkali moi muzyczni guru, jak Duke Ellington czy Jackie McLean. To również wywarło na mnie spory wpływ i każdego dnia daje nową dawkę inspiracji.

Jeśli dodamy do tego ilość i klimat klubów jazzowych...

O tak, to osobny temat. Wiadomo, są takie kluby-legendy, jak Blue Note czy Village Vanguard, ale do nich raczej nie wejdiesz z ulicy. Bilety są bardzo drogie i w zasadzie występują w nich jedynie ikony tej muzyki. Publiczność w nich jest jednak specyficzna, przychodzi trochę z przypadku, niemal jak do teatru. Ja wolę mniejsze kluby, zdecydowanie bardziej undergroundowe, gdzie w jednej części stoi bilard i stół do ping-ponga, a w drugiej scena, na której codziennie grają zespoły jazzowe. Zaczynają o 18.00, a kończą nad ranem. Tam tętni serce tego miasta i tej muzyki.

Bez tego wszystkiego nie mogłaby powstać Twoja płyta? Wyobrażasz sobie nagranie jej w innym miejscu?

Nie, w zasadzie ciężko mi sobie wyobrazić, aby mogła powstać gdzie indziej. Po pierwsze ze względu na inspirację, o których mówiłem, ale również ze względu na muzyków najwyższej klasy, których masz tu na wyciągnięcie ręki. Moim profesorem był Steve Wilson, jeden z najbardziej cenionych saksofonistów altowych. Dodatkowo los sprawił, że z kilkoma znakomitymi muzykami studiowałem i udało mi się dosyć sprawnie „wejść” w ten świat. Oni też pojawili się na mojej płycie.



Nowy Jork, fot. Zach Miles / Unsplash

Opowiedz o nich.

Alec Castro to niesamowity aranżer i kompozytor z Meksyku, graliśmy razem w wielu różnych projektach, w tym w moim kwintecie, i w zasadzie rozumiemy się bez słów. Diego Maldonado, perkusista z Wenezueli, który również ze mną studiował, więc temat „docierania się” mieliśmy za sobą. Skład uzupełnił świetny kontrabasista Clovis Nicolas oraz Bruce Harris, prawdziwe odkrycie nowojorskiej sceny, który poza jazzem udziela się również jako muzyk sesyjny w tzw. rozrywce, grał m.in. z Lady Gą, Rihanną, a teraz wykłada na wydziale jazzu State University of New York. Traktuję ich udział w projekcie jako sporą nobilitację i potwierdzenie, że to, co robię, ma sens i wartość.

Album nosi tytuł *Time to Begin* (Czas, aby zacząć). Tym właśnie jest ta płyta? Ważnym początkiem?

Właśnie tak. Uznałem, że już najwyższy czas nagrać to, co dudni mi w duszy, że to właściwy moment, aby zacząć również komponować. Cieszę się, że dane mi było stworzyć to ze wspomnianymi ludźmi, którzy okazali się niezwykle pomocni również w całym procesie.

Być mózgiem operacji to z pewnością zupełnie nowe doświadczenie?

Zgadza się. Trudność polegała przede wszystkim na tym, że w Nowym Jorku nie ma czasu na próby. Wszyscy są tak zajęci swoimi projektami, że aby ta płyta mogła powstać, musiałem się wznieść na wyżyny samoorganizacji i wszystko dokładnie przygotować, zarówno pod względem muzycznym, jak i logistycznym. Odbyliśmy tylko jedną próbę. Szczęśliwie panowie to najwyższej klasy profesjonalści. Nagraliśmy dwie wersje każdego kawałka, oczywiście na tzw. setkę, czyli wszyscy razem.

To niezbędne?

Tak. Jazz to muzyka interakcji, cała magia tworzy się ze wspólnego grania, bo reagujesz na to, co proponują inni. To jest w tym wszystkim najwspanialsze.

Niebawem wracasz do Nowego Jorku, jak wyglądają te nieco bardziej odległe plany? Przychylne recenzje, których nie brakuje, jak te z „All About Jazz”, realnie pomagają?

Jak wspominałem – przychylne recenzje utwierdzają mnie w przekonaniu, że to wszystko ma sens, że nie znalazłem się tutaj przypadkiem i że to jest to, co chcę w życiu robić. Widzę siebie tutaj jako zawodowego muzyka, to jest mój cel. Żyję w przekonaniu, że jestem na drodze bez odwrotu, a wszystko co najlepsze ma dopiero nadejść. „There’s nothing you can’t do”, śpiewała o Nowym Jorku Alicia Keys. To teraz również moje miasto (śmiech).

// Zaleca się Recenzje



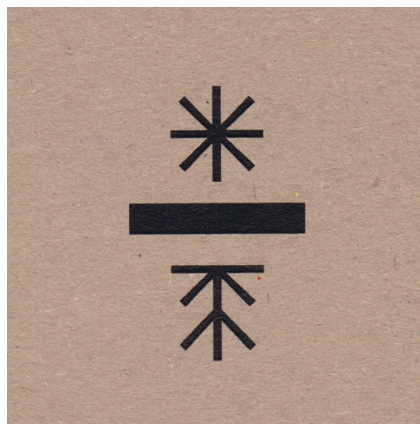
JAVVA

Balance of Decay

Odświeżające granie, którego w Polsce za wiele nie ma lub nie ma wcale. Połączenie rytmów i dźwięków à la Tinariven i Bassekou Kouyate, czyli wszystkiego, co kojarzy nam się z gitarową wersją północnej Afryki, ze szczególnym wskazaniem na Maghreb, z transowo-dyskotekową wręcz rytmiką i rockowym brzmieniem. Na *Balance of Decay* oprócz tradycyjnego dla gitarowego kwartetu instrumentarium wysłyszycie można jeszcze samplery, konga, organy i syntezatory. A jeśli dodamy do tego, że muzycy z niejednego pieca chleb jedli, by wymienić tylko Bartka Kapsę (ex Something Like Elvis czy Contemporary Noise Quintet) czy Piotra Bukowskiego z Hokei czy Xenonów, to przepis na muzyczny sukces murowany. Ale jak to w przypadku undergroundowych supergrup bywa (samo określenie już brzmi podejrzanie), pozostaje mieć

tylko nadzieję, że zespół będzie w rzeczywistości tak zgrany, jak słucać to na płycie, i na jednym albumie się nie skończy.

Marek Szubryt



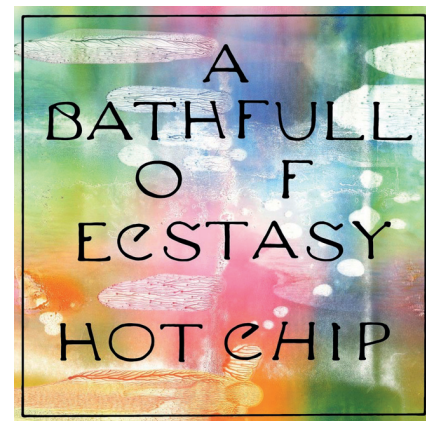
BITAMINA

Kwiaty i korzenie

Swoją piątą już płytą (jak to możliwe?) Bitamina potwierdza, że w pełni zasłużenie jest na szczycie oraz wygodnie się na nim rozsiada. Ów stan rzeczy piszącego te słowa cieszy podwójnie, bo dawno na polskiej scenie nie było zespołu, który by zarazem brzmiał i robił muzykę „tak bardzo po swojemu”. Piosenki mają swój rozpoznawalny w mig charakter i osadzone są gdzieś na pograniczu hip-hopu, alternatywy, a miejscami nawet jazzu i nie tylko wokół Mateusza Dopieralskiego czy deklamacje Piotra Sibińskiego są wyróżnikami, ale słowa pochwały należą się wszystkim muzykom tworzącym

zespół. W tak krótkiej recenzji nie sposób wymienić wszystkich, dlatego polecam koncerty, na których można docenić ów kunszt w pełni. Zanim to jednak nastąpi, warto zgłębić twórczość i o ile wcześniej mogliśmy słucać arcyciekawej opowieści o dorastaniu, to na *Kwiatach i korzeniach* Bitamina śpiewa o rzeczach nieco poważniejszych, choć w charakterystyczny dla siebie, alegoryczny, zabawny i bezpretensjonalny sposób.

Marek Szubryt



HOT CHIP

A Bath Full of Ecstasy

Na swoim siódmym albumie londyńczycy z Hot Chip nie wymyślają prochu i podążają swoją utartą ścieżką. Czyli – w skrócie – mamy do czynienia z popem przesiąkniętym elektroniką. Nowością jest jedynie to, że zespół po raz pierwszy w swej historii zdecydował się na zatrudnienie zewnętrznych producentów, którymi byli Philippe Zdarem (niestety już świętej pamięci członek zespołu Cassius) i Rodairem McDonalдем

(współpracował m.in. z The XX czy Samphą). I był to ruch nad wyraz słuszny, gdyż w odniesieniu do poprzednich płyt wydaje się, że w obecnym materiale jest więcej przestrzeni, nie ma zbędnego nagromadzenia instrumentów, co wychodzi na plus piosenkom, które Hot Chip zawsze potrafili pisać, ale teraz brzmią po prostu przejrzystej. Melancholijny falset Alexisa Taylora w naturalny sposób współgra z elektroniką serwowaną przez jego kolegów z zespołu, dlatego śmiało można powiedzieć, że to album z kilkoma bardzo fajnymi momentami (jak choćby *Hungry child*). Słuchać i tańczyć.

Rafał Czarnecki



LOYLE CARNER

Not Waving, But Drowning

Jeśli ten album miałby zostać wydany przez polskiego artystę na naszym rynku, to prawdopodobnie nie miałby żadnych szans na sukces. A to dlatego, że nie podąża za modnymi obecnie trendami. Osadzony w stylistyce boom-bapowej, z naleciałościami soulowymi i jazzowymi wstawkami,

z którymi miękki wokal Brytyjczyka idealnie współgra. Całość ma refleksyjny charakter, a Loyle Carter snuje swe opowieści o problemach z dorastaniem, wyprowadzce z domu i przede wszystkim o rodzinie. Siłą tego albumu są również ciekawi goście, tacy jak: Tom Misch, Jordan Rakei, Rebel Kleff, Kiko Bun, Sampha, Jorja Smith, którzy odciskają swe wyczuwalne piętno. Kawal naprawdę mądrze skomponowanej i zarapowanej muzyki. Ja jestem fanem. Koniecznie sprawdźcie!

Rafał Czarnecki



CHASE & STATUS

RTRN II JUNGLE

Saul Milton and Will Kennard za swą odwagę zasługują na najwyższy szacunek. Panowie postanowili zdecydowanie odwrócić trend, który od dłuższego czasu możemy obserwować. Dotychczas proces wyglądał następująco: wypuszczamy płytę z muzyką stanowiącą mieszankę drum and bassu, dancehallu i wszelkiej maści elektroniki. Ludzie ją doceniają, sukces. Jego efektem jest

przyspieszony kurs w stronę popu, wygładzanie brzmienia i gościnne udziały mainstreamowych postaci (przypadek Rudimental i Major Lazer). Chase i Status postanowili zrobić ukłon w stronę basowych głów i wydali album z jungle, które brzmi świeżo, nowocześnie, a zarazem przywołuje postaci dla gatunku kultowe, wystarczy wymienić takich gości jak Burru Banton, Cutty Ranks czy General Levy. Wszystko kipi i buzuje energią. Tym samym wynaleźli wehikuł czasu, czyli cud.

Michał Mościcki



BLACK PUMAS

Black Pumas

Soul się odradza. Taki wniosek nasuwa się z poczynań amerykańskich wytwórni, z Daptone Records na czele. Ścieżki dźwiękowe najlepszych seriali pełne są klasyków gatunku, ale i młodych, obiecujących artystów. Leon Bridges czy Michael Kiwanuka święcą triumfy, a Charles Bradley, śpiewając z głośnika, łamie serca. Do tej wesołej czeredy dołączają Black Pumas, choć tematyka ich twórczości raczej

z kategorii tych zaangażowanych, a skojarzenia z Czarnymi Panterami jak najbardziej trafione. I znów mamy tu stare patenty, ale przefiltrowane przez producenckie głowy, które nadają im nieco psychodelicznych akcentów. Album ów to wreszcie siła wokalisty, Erica Burtona, któremu wierzymy od pierwszych minut. Ból, walka i żywe emocje na tacy, czyli wszystko, co pozwala docenić soul „z serducha”. Ogień płonie. Wypala wszelki fałsz, prawda pozostaje.

Michał Mościcki



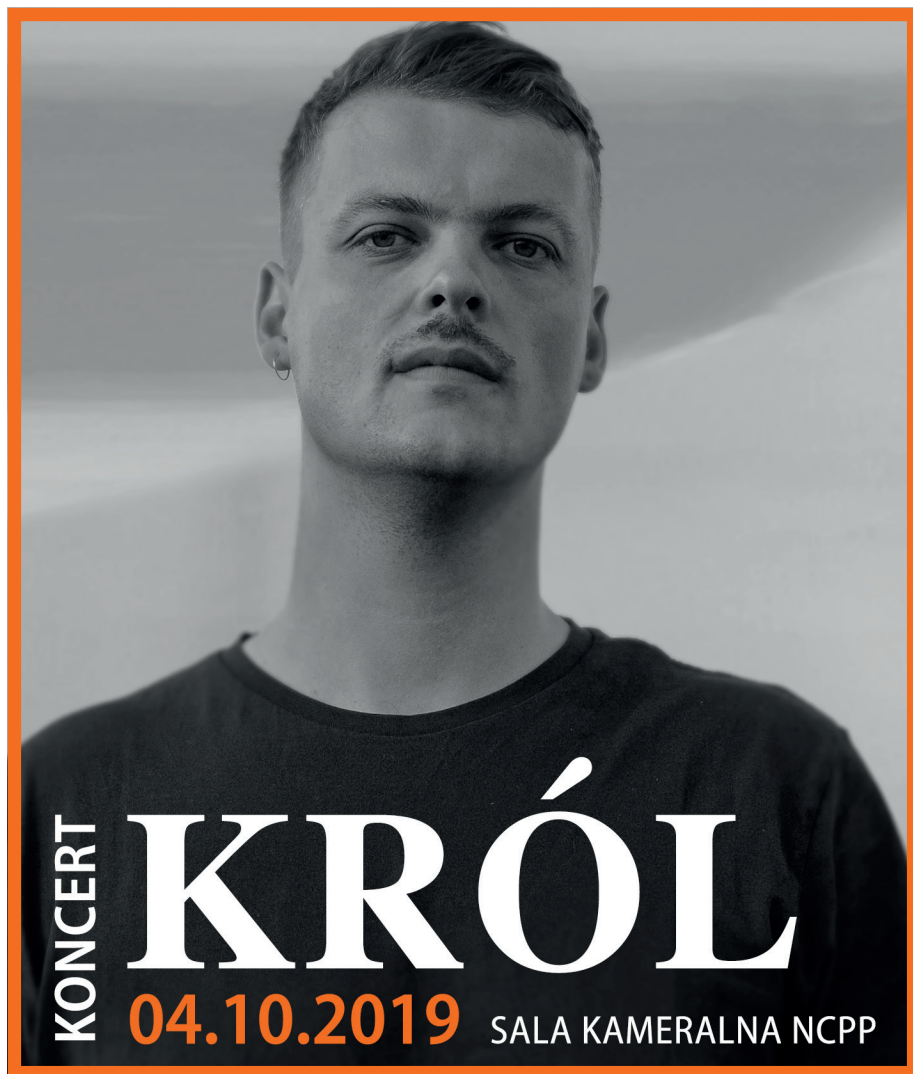
MGŁA

Age of Excuse

Zawiedzeni humaniści – jak nazywa siebie i swojego druha, perkusistę Darkside (jeden z najlepszych w tym gatunku!) M., wokalista i gitarzysta Mgły – po czterech latach od „ćwiczeń w nieskończoności” nagrali kolejny album, stawiający ich w czołówce blackmetalowej ligi, pogłębiając idee, które stoją za tą estetyką. Nowy album jest oszczędny i surowy. Hipnotyczne riffy wychodzą naprzeciw perkusyjnym

poszukiwaniom. Kilka akordów, monolityczne brzmienie. Skały, o które kruszą się szczęki. Zgrzytanie zębów inicjujące album. Nawałnica, która przetacza się przez zapadłą dziurę. W oknach gasną cienie, wiatr zrywa sznury, na których wieszają się sny. Mgły wciskają się w każdą dziurę w sztachecie. Ciemność gęstnieje, otulina nocy osadza się na wszystkim. Ściana dźwięków, o którą rozbija się świt. W jednym z Psalmów trafiamy na wersy: „Pan zna ludzkie zamysły: / one są mgłą”. Rozwiewają się w mroku.

Bartosz Suwiński



numer #20

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole

Opracowanie, redakcja treści:

Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny:

Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka, skład, opracowanie graficzne:

Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Współpraca:

Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński

Korekta:

Krzysztof Szymczyk, korektor@pressmedia.pl

Nakład:

1500 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY

MiC
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

SZUKAJ NAS W SIECI



·bashesh·
agencja muzyczno eventowa
est. 2008

TAKIE **R** ZECZY

"Mr Jaka"

16.11.2019

Opole | Sala Kameralna NCPP | 19:00

RE PER TU AR NCPP

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
WWW.NCPP.OPOLE.PL

- 04.10** KRÓL
- 08.10** FILM Z MUZYKĄ NA ŻYWO
PANCERNIK POTIOMKIN - 17. FFOL
- 09.10** WRĘCZENIE HONOROWEJ LAMY - FILM "ETER"
KRZYSZTOF ZANUSSI - 17. FFOL
- 10.10** ROKSANA WĘGIEL
- 11.10** GALA FINAŁOWA
DANIEL SPALENIAK - 17. FFOL
- 17-19.10** VIII OPOLSKI FESTIWAL GÓR
- 25.10** NOCNY KOCHANEK
- 26.10** BAKSHISH
- 30.10** ZADUSZKI JAZZOWE
- 08.11** SORRY BOYS
- 15.11** SARSA
- 16.11** KĘKĘ
- 27.11** TYDZIEŃ FILMU NIEMIECKIEGO
- 28.11** OPOLSKIE JAM SESSION
- 29.11** ŻABSON
- 30.11** DARIA ZAWIAŁÓW
- 05.12** STARTUP MIXER VOL. 39
- 06.12** TABU
- 07.12** SARIUS

